

Krzysztof Krasuski

Znowu potwór z Loch Ness, czyli paszkwil Stanisława Dąbrowskiego

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 75/2, 420-424

1984

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

W książce KK wyróżniam: problem sposobu jej napisania (problem techniczny) i dwa problemy przedmiotowe, wskazane przez podtytuł książki (Troczyński-teoretyk, Troczyński-krytyk). Sądzę, że z podjęcia trzeciego problemu KK wyszedł jako tako „obronną ręką”, ale w odniesieniu do dwóch pierwszych problemów nie da się tego powiedzieć. Głównie na wyjaśnienie (czy też wykazanie) owego *nie da się* byłem zmuszony przeznaczyć dotychczasową część swojego omówienia tej książki, które urywam, nie rezygnując z myśli o jego dalszym ciągu⁵⁵. Troczyński w szkicu o Mannie pisał o dnie zbudowanym symetrycznie do wieżyczki fikcji. Jak dotąd, walczyłem z fikcją, badając dno.

Dopowiedź. Irzykowski radził: „Nie pisz arbitralnie. Zwłaszcza gdy chlastasz autora polskiego, daj dowód”⁵⁶. Daj? Więc dałem.

Stanisław Dąbrowski

Gdańsk 1982

ZNOWU POTWÓR Z LOCH NESS, CZYLI PASZKWIL STANISŁAWA DĄBROWSKIEGO

Nie będę składał obłudnych wstępnych wyjaśnień w sprawie paszkwilu, a dopowiedź pozostawiam czytelnikom. Najpierw głos oddam poprzednim ofiarom polemiki Stanisława Dąbrowskiego (dalej: SD), od lat grasującego na różnych łamach i dlatego nie obejdzie się niestety bez kilku cytatów. Opinie te są przypomnieniem charakterystyki SD. Zmuszony jestem uzupełnić ją kolejnymi przykładami recydywy.

Profesor Jan Trzynadłowski stwierdził: „Muszę przyznać, że uwagi wstępne do polemiki podjętej przez Stanisława Dąbrowskiego (SD) nie zachęcają bynajmniej do dyskusji. Już na samym początku, zanim cokolwiek mogło być powiedziane, SD zaznacza, że jego wystąpienie ma być »ostrzegawczym uwidocznieniem« [...] SD zaprezentował siebie jako tego, który po prostu *wie*, stąd stać go i na stosowne do tego słownictwo, i na ton mentorski, i na poczucie pewności nawet tam, gdzie pewność jest niezbyt pewna”¹. Dalej następują uwagi o uchybianiu przez SD dobrym obyczajom: pomijaniu racji drugiej strony i wymyślaniu jako cesze jego „słownictwa i temperamentu (kultury?) polemicznego”². W odpowiedzi na kolejny napad profesor zauważył, iż SD, „gdy zabiera głos, nigdy nie ma wątpliwości i dlatego poucza, grozi, ostrzega, ironizuje, odsyła, gani, co stwarza atmosferę bardziej przemówienia niż dyskusji”³.

Potwornie długą litanię przypisanych mi usterek rozpoczął nasz kaznodzieja od błędów językowych, by od razu na wstępie mnie skompromitować. Kpi z książki, dwukrotnie wytykając mi nie rozpoznany chochlik drukarski „podbudowana

⁵⁵ Zob. S. Dąbrowski, *Troczyński-krytyk w ujęciu Krzysztofa Krasuskiego*. „Roczniki Humanistyczne” (w druku).

⁵⁶ K. Irzykowski, *O tzw. upadku twórczości dramatycznej*. W: *Słoń wśród porcelany. Lżejszy kaliber*. Kraków 1978, s. 182.

¹ J. Trzynadłowski, *W odpowiedzi na uwagi Stanisława Dąbrowskiego*. „Teksty” 1978, nr 4, s. 135.

² *Ibidem*, s. 137.

³ J. Trzynadłowski, *W odpowiedzi Stanisławowi Dąbrowskiemu*. „Pamiętnik Literacki” 1980, z. 4, s. 441.

nad", czyniąc z niego i podobnych drobiazgów klucz do charakterystyki autora. Używa jednak wytrychów, o których rodzaju będzie jeszcze mowa. Istotnie, błędne wyrażenie znalazło się w książce wskutek nieuwagi zecera, a potem mojej przy korekcie. Chochlik ten jest oczywisty dla każdego zrównoważonego człowieka, ale nie dla malkontenta, któremu wygodnie zapomnieć o własnym odwoływaniu się do słuchu czytelnika (w przypisie 4 jego elaboratu). Nie przypadł SD do gustu rozdział V książki, wcześniej drukowany w „Pracach Historycznoliterackich” Uniwersytetu Śląskiego (zob. przypis 16 u SD). Nim paszkwilant zacznie szydzić w najpoważniejszym piśmie polonistycznym, niech przyjdzie mu na myśl skonfrontować tekst książki, choćby dla zwykłej rzetelności i spokoju sumienia, z tym pierwodrukiem, gdzie na s. 132 jest prawidłowo: „nadbudowana nad”. Gdyby to nie przekonało kontrolera i czytelnika, można sprawdzić w maszynopisie mego doktoratu (s. 140) i książki. Oto jak śmieszny błąd zecerski jest przez SD wyolbrzymiony. Tak samo jak przypisana mi chęć mediacji między Lotmanem a Sławińskim. Akurat ten fragment książki przeszedł próbę druku w „Tekstach” (1977, nr 4).

Paszkwil zarzuca mi powtórzenia, m. in. 3-krotne na s. 144. SD, nim uderzy kamieniem, powinien sprawdzić, czy sam jest bez winy. Okazuje się, że wysuwając te zarzuty, uprawia etykę Kalego. Jaka wartość może mieć upomnienie z ust arbitra, który potrafi powtórzyć się na jednej stronie 6-krotnie („zmiana” i obojętności w „Pamiętniku Literackim” 1980, z. 4, s. 37), 5-krotnie („powiedział, powiem” w „Pamiętniku Literackim” 1978, z. 4, s. 422), 4-krotnie („trzeba” w „Pamiętniku Literackim” 1978, z. 4, s. 434; „pisze, pisać” w „Pracach Historycznoliterackich” Uniwersytetu Gdańskiego, nr 6, s. 116) itd. A co rzec o jego dziwolągach językowych (np. „pochop do...”, „powściągnąć”, „wirtuozja”, „lęk egzystencjonalny”, których archaiczność nadaje się może w poezji, ale nie mieści się w stylu naukowym).

Podobnie winno się potraktować wyolbrzymione zarzuty, dotyczące innych stylistycznych cech mojej książki. SD generalizuje wyliczając przykłady, które w części są bezsensowne, w części zaś spreparowane. Krytykuje wyrwany z kontekstu wyimek „postulat zasady”, gdy ja na s. 159 napisałem o elementach programu merytoryzmu, m. in. o postulacie zasady komplikacji. Nawet purystyczny językoznawca nie dopatry się w tym błędu, podobnie jak w zwrocie „formalizować sposób istnienia” (tzn. sposób istnienia czegokolwiek wyrażać logicznymi formalizacjami). Wytknięte mi wyrażenie „przeгляд metaforyki [...] rozpoczniemy od architektury” nie jest najszcześliwsze, ale jest elipsą czytelną w swym kontekście. Mentorowi nie podoba się zwrot „kultywował teorię” i krzyczy, że powinno być „rozwickał teorię”. A przecież znaczy to nie to samo i chodziło o podkreślenie różnicy między powtarzaniem a rozwijaniem. Podobnych strzałów kulą w płot jest w paszkwilu SD więcej.

Mój prześladowca, wymagając rzetelności, sam jako egzekutor jest w paszkwilu nierzetelny. Uznane do praw gatunku, lecz niech nie nazywa go obłudnie recenzją. Czytelnik, który nie zna mej książki, bo go SD zniechęcił, może ulec innym licznym wmówieniom i zniekształceniom paszkwilanta. Proszę więc sprawdzać, SD mija się z prawdą lub zdrowym rozsądkiem wielokrotnie. Gdy skłamię raz: „cytat obejmujący półtorej stronie nie jest u KK niedopuszczalny (97–98)” — w rzeczywistości cytat jest 1-stronicowy — łatwo już mu w zacierzewieniu przechodzi przez gardło: „cytat na całą stronę jest nawet dość częsty, cytat na trzy czwarte strony to prawie norma” itd. w tym stylu, w otoczeniu „niewinnych” słówek, jak „nawet”, „prawie” itp. Wszystko to wychodzi z ust człowieka, o którym Jerzy Kwiatkowski powiedział, że „z trudnością [mu] przychodzi napisanie paru zdań bez powoływania się na autorytety [...], zachłystuje się litaniami nazwisk,

które wprowadza niejednokrotnie na zasadzie luźnych skojarzeń”⁴. Proszę porównać tylko 56 przypisów w paszkwilu.

Polemiczne faule SD znane są w Polsce od dawna. Obnażył je już Kwiatkowski, gdy orzekł o zabiegach SD: „Niektóre z nich służą ułatwieniu sobie dyskusji bardziej zasadniczej. Niektórym przyświeca niezrozumiała dla postronnego świadka pasja obniżania wartości omawianej książki”⁵.

SD wpisał w paszkwil cytaty z *Patuby* i wydaje mu się, że jest Irzykowskim, który odsłonił nieczne moje intencje, a mnie samego schlastał. W rezultacie jego potwarzy, których charakter opisuję, nie czuję się schlastany, lecz opluty. SD pastwiąc się nad książką, czytelnikowi chce przedstawić się jako jowialny, elegancki erudyta, który tylko w imię dobra nauki, a nie swoich korzyści — choć jest autorem monografii o Troczyńskim oczekującej na druk — zmuszony jest skarcić nieuka, nie umiejącego pisać i myśleć, w dodatku jeszcze „odpisującego”. Jednak inaczej Irzykowski wyobrażał sobie „straszne braterstwo szczerości”, na które się SD (s. 399) głośno powołuje.

Jeden z podrozdziałów paszkwilu — ba, cały paszkwil — straszy widmem rzekomych moich zdrożnych manipulacji cudzymi tekstami. Przypomnę więc pouczenie dane już raz SD: „Granica między nauką a korzystaniem z jej wyników jest bardzo płynna, choćby dlatego, że nie ma nauki bez korzystania z wyników obserwacji czy po prostu z pracy naukowej własnej oraz poprzedników”⁶. Osobiście uważam, że w nauce nie ma spraw cudzych i własnych, a jej rozwój odbywa się w sposób kumulatywny.

Od początku pracy nad Troczyńskim zdawałem sobie sprawę z konieczności wielokompetencyjności, m. in. w zakresie metodologii, teorii literatury, filozofii, estetyki, socjologii itd. Fakt niepodejmowania prac o Troczyńskim w środowisku polonistycznym zdopingował mnie do zmierzenia się z tematem, a liczne wzmianki o tym autorze w publikacjach Kmity, Gołaszewskiej, Wiesława Pawła Szymańskiego i strukturalistów były dla mnie zachętą. Publikacje te rzeczywiście wykorzystałem, na pewno nie zawsze fortunnie, ale mając do nich największe zaufanie, potraktowałem je m. in. jako argumenty w moim wywodzie o współczesnym zainteresowaniu Troczyńskim i starałem się to wyraźnie zaznaczyć. Pomówienia SD o plagiowanie są jednak nadużyciem nawet w paszkwilu, są wyolbrzymione i tendencyjne. Najbardziej drastycznie wygląda zarzut rzekomego odpisywania ze s. 345 *Neosymbolizmu* Szymańskiego, ale nie jestem pewien, czy autor czuje się okradziony, jak to insynuuje SD, z cezury okolic roku 1935, gdyż jest to ogólnie znany przełom literacki, opisywany m. in. przez Stefana Żółkiewskiego czy w podręczniku *Literatura polska 1918—1975*. Nawet jeśli następujący poniżej cytat zaczerpnąłem od Szymańskiego, to jest to **z a z n a c z o n e** na inkryminowanej przez SD s. 176 mej książki zwrotem „wymienia się” (a więc nie ja sam wymieniam), następującym bezpośrednio po cytacie z Szymańskiego. Także cytaty z Szenwalda, Bujnickiego, Zagórskiego i Chmielowca powtarzam za tym badaczem czasopism literackich dwudziestolecia, co stwierdzam, aczkolwiek rzeczywiście mało fortunnie, na s. 177 mej książki. Dług w stosunku do Szymańskiego zaznaczam dalej na s. 179 i 201. Ale SD nie chce tego widzieć, woli generalizować i pomawiać, tak jak mu wygodnie.

O młodzieńcych artykułach Troczyńskiego w „Życiu Literackim” wspomniałem ogólnikowo, właśnie dlatego, że są młodzieńcze i nie uznałem ich za ważne

⁴ J. Kwiatkowski, *Odpowiedź mojemu monografiście*. „Pamiętnik Literacki” 1979, z. 3, s. 405.

⁵ *Ibidem*, s. 407.

⁶ Trzynadłowski, *W odpowiedzi Stanisławowi Dąbrowskiemu*, s. 442.

w moim widzeniu tego krytyka. Zarzuca też mi SD, że nie doceniłem doktoratu Troczyńskiego i zagubiłem ewolucję jego doktryny. Dokonałem rekonstrukcji poglądów Troczyńskiego w układzie systematycznym, sygnalizowanym przez kompozycję książki, a nie w układzie chronologicznym. Podobnie uczynił Maksymilian Pacholski w swej książce o Znanieckim. Jest to nowy typ monografii, preferujący ujęcia systemowe, nie zaś drobiazgowo, które krytykował już sam Troczyński. Taki systemowy zamiar ma moja książka, stąd jej modelowe uproszczenia, i nie jest ona adresowana do łowców przejęzyczeń i cytatów. Powtórzony w niej cytat ma swe funkcje.

Roztrzęsiony SD zarzuca mi: „sposób, w jaki KK spożytkowuje pracę Ulatowskiego, każe przypuszczać [...], że KK zna ją tylko z tytułu”. Mamy tu do czynienia z jednym z zabawniejszych zabiegów paszkwilanta. SD wytykając mi złe użycie tego źródła, sam go w ogóle nie zna, bo gdyby miał je chociaż w ręce, to: 1) poprawiłby mój lapsus w jego tytule (*Balast serdeczny*), 2) nie nazwałby szumnie pracą 1-stronicowego dziennikarskiego wspomnienia, 3) przypuszczalnie żądałby wskazania strony — i to by było w jego stylu! Jako biografowi Troczyńskiego przy okazji polecam mu tę lekturę. Ale jak po tej nieudanej mistyfikacji paszkwilanta poważnie traktować jego zarzuty o domniemane nieprzeczytanie przeze mnie *Wstępu do socjologii, Ludzi terażniejszych [...]* czy *Noty metodologicznej Znanieckiego*?

Tekst SD jest pełen sprzeczności. Kiedy mu wygodnie, zarzuca mej książce nadmiar cytatów i odsyłaczy lub ich brak w przypadku podręcznika czy tekstów znanych nie tylko socjologom. Zbyt obszernie według niego spożytkowałem prace Jerzego Kmity, zbyt zdawkowo studium Stanisława Cieniawy. To ściśle estetyczne studium otrzymałem od Autora jesienią 1977 (mb. trochę wcześniej nie uzyskałem niestety konsultacji u SD — i ten drobny fakt niech wskaże różnice między postawami Cieniawy i SD: otwartą i nienawistnie skrytą), gdy złożyłem już swą rozprawę. SD wymawia mi, że książka Cieniawy ukazała się na rok przed przedłożeniem mojej pracy. Dzięki tym zabiegom już w następnej linijce SD zarzuca mi z tego powodu nierzetelność, by za chwilę krytykować z kolei Cieniawę, a za moment Dziamskiego, Cysewskiego, Głowałę. Czy nie za dużo ciosów w tej bijatyce rozdaje SD na ślepo?

Na s. 410 pomawia mnie SD, że okradłem prof. Henryka Markiewicza. SD napisał: „Opinii KK, że Troczyński pierwszy w Polsce określił dzieło literackie jako tekst kreujący swoistą, fikcyjną rzeczywistość (24), zresztą, opinii powtórzonej (bez odsyłacza) za Henrykiem Markiewiczem”. Moje sformułowanie różni się od ujęcia w *Teorii badań literackich w Polsce* w opracowaniu Henryka Markiewicza, gdzie w tomie 2 na s. 345 czytamy: „Debiut naukowy Troczyńskiego — rozprawa *Przedmiot i podział nauki o literaturze* (1929) definiowała po raz pierwszy w nauce polskiej literaturę jako »świat stworzonych intencjonalnie fikcji w słowie piśmym«” i nigdzie na tej stronie (i w ogóle u H. Markiewicza) nie ma sformułowania identycznego z użytym przeze mnie. Proszę sprawdzić i osądzić oszczercę i manipulatora! Oto więc kolejny przykład tego, na jakim fotelu do bujania usadowił się tym razem SD i jakie są jego sposoby łamania nóg.

A oto jeszcze jeden wybieg: SD pomstuje, iż nazywam debiutem Troczyńskiego tę właśnie rozprawę, gdy — tak jak to jest przyjęte — za debiut uznają publikację drukiem, a nie rzecz pozostającą w maszynopisie. Podobnie uczynili: Markiewicz we wspomnianym aneksie, Jan Zygmunt Jakubowski w nocie w *Polskiej krytyce literackiej 1918—1939* i Cieniawa, który, mimo że zna doktorat Troczyńskiego, pisze w swym studium na s. 242 o opublikowanej rozprawie jako o debiucie naukowym. To chwalebne, że SD dotarł do maszynopisu Troczyńskiego — choć ja świadomie ograniczyłem się do debiutu w druku, który sam autor

uważał za powtórzenie i skondensowanie tez swego doktoratu — ale dlaczego po kunktatorsku przez 20 lat nie prostował Jakubowskiego i Markiewicza, a teraz uderza z tego błahego powodu w jakiegoś KK?

Na s. 414 paszkwilu SD wymawia mi, iż napisałem, że Troczyński wprost z *Wstępu do socjologii* Znanieckiego przejmował schematy ujęć, a „nie ma u KK ani jednego odsyłacza do tej książki”. Uważam, iż nie potrzeba w funkcji *decorum* cytować ogólnie znanego podręcznika. Wystarczy, iż sam Troczyński powoływał się nań często (wymienimy tylko miejsca, gdzie czyni to wprost: wielokrotnie w pracy doktorskiej, w *Rozprawie o krytyce literackiej* na s. 11, 22, 23, 25, 40, 47, 69, 75, w *Zagadnieniach dynamiki poezji* na s. 11, 19, 21, 26, 27, 49, 57, 60, 68). Mówiąc żartem: po tak deklarowanej zależności od Znanieckiego można już nie czytać jego podręcznika. A poważnie: jako historyk literatury wyeksponowałem ten wpływ w rozdziale I swej książki, który już samym tytułem nie rości pretensji do zupełności. Cała moja książka nie jest na pewno ostatnim słowem o Troczyńskim. Nie chciałem w niej popaść w charakterystyczny dla SD wszystkoizm, mnożenie bytów ponad potrzebę, dzielenie włosa na czworo i wskazywanie wpływów i zależności Troczyńskiego od Poincarégo, Wiegnera, Blausteina, Adama i Ewy...

Dziecinada SD — bo to jest chyba usprawiedliwiona klasyfikacja — przejawia się nie tylko w tych przypadkach, lecz także w groteskowych inwektywach, iż nie odróżniam architektury od urbanistyki, anatomii od botaniki itp. Ręce opadają, panie docencie! Dlaczego jeśli książkę uważa się za bzdurną i lichą, wytacza się przeciw niej na 2,5 arkuszach poważnego pisma naukowego najcięższą artylerię: od Znamierowskiego do Ratajczakowej, a drukiem w „Rocznikach Humanistycznych” zapowiada się następne swe dzieło monograficzne, tym razem o niejakim KK?

Wiadomo, że czasopisma dbają o swoją atrakcyjność w różny sposób. Prezentowanie SD w roli paszkwilanta — bo tylko o tej roli piszę — w różnych pismach i porach roku bardzo przypomina chwyt z wężem morskim z Loch Ness. Jakoś rozumiem starania redaktorów czasopism, ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego Stanisław Dąbrowski daje się im tak naiwnie wykorzystywać.

Krzysztof Krasuski